

# MICHAEL PALMER

Nowy thriller polityczno-medyczny autora „Krytycznej terapii”



## POLITYCZNE SAMOBÓJSTWO

# PROLOG

3 maja, 2003

Trzej członkowie kompanii Mantis wyskoczyli przez otwarty luk transportowca C-130 lecącego na wysokości dwudziestu tysięcy metrów nad ziemią. Ćwiczyli ten skok setki razy. Bezpieczne lądowanie zapewniał im sprzęt, o który pedantycznie dbali, hełmy balistyczne, maski tlenowe, regulatory Airox i awaryjne butle z tlenem. Według wskazań wysokościomierzy, opadali z prędkością stu osiemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Przez kilka minut spadali swobodnie, wyprostowani i nieruchomi, w szyku. Spadochrony otworzyły się automatycznie dwieście pięćdziesiąt metrów nad ziemią, na najniższej dopuszczalnej wysokości w przypadku desantu wykonywanego tą techniką.

Przelecieli jak rakiety przez niską warstwę chmur i ukazali się jak znikąd na bezgwiezdnym, ciemnym niebie przedświt. Z lądowania każdego z nich, wykonanego z gracją pumy, byliby dumni ich instruktorzy z Quantico. Perfekcja. Mantis wymagała tylko doskonałości. Trzej mężczyźni w milczeniu

zdjęli polipropylenową bieliznę, chroniącą przed odmrożeniami na dużych wysokościach, i przebrali się w białe bawełniane stroje i tradycyjne nakrycia głowy talibskich bojowników. Następnie spakowali i zapięli plecaki bojowe ważące ponad dwadzieścia kilogramów.

Spodziewali się, że w zakurzonych ubraniach nie wzbudzą żadnych podejrzeń, przynajmniej początkowo. Każdy miał opaleniznę z solarium uzupełnioną profesjonalnie wykonanym makijażem oraz krótko przystrzyżone wąsy i gęstą brodę. Poruszając się chyłkiem, trójka mężczyzn wtopiła się w otoczenie – górski i kamienisty region południowego Afganistanu, nagi i pusty jak krajobraz księżycowy.

– Jakież obrażenia?

– Nie, sierżancie – odpowiedzieli chórem dwaj pozostali.

– Miller, ile kilometrów do celu?

Miller zerknął na podręczny lokalizator GPS.

– Jesteśmy pięć kilometrów na południowy zachód od celu, sierżancie.

– Gibson, wyrzuć sprzęt.

Gibson wiedział, że nie ma sensu poświęcać czasu na szukanie odpowiedniego miejsca, aby ukryć spadochrony i pozostały ekwipunek. Mieli nadzieję, że minie trochę czasu, zanim Afgańczycy natkną się na stertę nowoczesnego sprzętu wojskowego upchniętą za ostrym głazem.

Szli jeden za drugim, poruszając się bezszelestnie po kamienistym terenie, z Millerem na czele, zaopatrzonym w lokalizator GPS. Za ich plecami wstawał świt, wspinając się na niebo wstęgami różu, żółci i błękitu, które jak gigantyczne palce wyciągały się w górę, przywołując skinieniem nowy dzień. Gdyby ktoś zbadał w tym momencie puls trójce

mężczyzn, u żadnego z nich częstotliwość nie przekroczyła by pięćdziesięciu uderzeń na minutę.

Miller znalazł drogę – zryty koleinami szlak, który miał ich zaprowadzić na obrzeża Khewy, dwudziestotysięcznego miasteczka, które dziś wyglądało tak samo jak półtora wieku wcześniej. Młode kobiety w czadorach przerywały pracę na przydrożnych polach pszenicy, ryżu i warzyw, aby obrzucić przelotnym spojrzeniem trójkę podróżnych, po czym szybko wracały do swojego zajęcia. Przebranie marines było na tyle dobre, że żadna z kobiet nie zadała sobie trudu, by przyjrzeć się im uważniej. Oceniali, że jeśli im się nie przytrafi żadne wyjątkowe nieszczęście, może minąć około dwunastu godzin, zanim zostaną zidentyfikowani przez żołnierzy albo któregoś z mieszkańców miasteczka.

Czasu aż nadto.

Mężczyźni z kompanii Mantis bez żadnych incydentów dotarli do kruszących się ceglanych murów na obrzeżach Khewy. W oczy rzucał się przede wszystkim brak wielu rzeczy – w miasteczku nie było samochodów, elektryczności, bieżącej wody. Wszędzie było widać ślady dwudziestu lat wojny. Kratery po bombach i minach znacznie utrudniały pokonywanie skromnej liczby dróg, nawet pieszo. Zniszczonych przez bombardowania budynków i chat było więcej niż tych nadających się do zamieszkania.

Do celu prowadziły ich zapachy bazaru. W końcu zaczęli się kręcić między nędznymi straganami skleconymi z desek, blachy i gliny, które stały stłoczone jeden przy drugim po obu stronach wąskiej gruntowej drogi. Mimo wczesnej pory targowisko w centrum miasteczka tętniło już życiem. Na niektórych straganach wisiały płaty mięsa upstrzone muchami

i jak makabryczne dzwoneczki poruszane wiatrem, a poplamieni krwią rzeźnicy wykrzykiwali po pasztuńsku ceny dnia. Z głośników tandetnych odbiorników radiowych łomotała perska muzyka, a trzech marines dalej spacerowali między kramikami z owocami, pieczywem i podstawowymi artykułami gospodarstwa domowego.

Zwrócili na siebie uwagę jednego z członków starszyny miasteczka dopiero po dwóch godzinach, gdy poranek zmienił się w parne przedpołudnie.

– Nie patrzcie – rzekł przyciszonym głosem Gibson. – Ale zdaje się, że nas zauważyli.

Afgańczyk z długą siwą brodą spływającą na pierś i kałasznikowem na ramieniu zbliżył się do nich, jak gdyby podchodził do jadowitego węża.

Trzej marines odwrócili się do niego plecami i odeszli jak najdalej od kobiet i dzieci na zatłoczonym bazarze. Operacja w miarę możliwości miała objąć tylko żołnierzy. Kiedy się zatrzymali, Afgańczyk ostrożnie zrobił dwa kroki w ich stronę... potem trzeci. Przymrużył ciemne oczy. A po chwili zaczął wrzeszczeć jak opętany, pokazując na nich palcem.

Jego piskliwy głos wzniósł się ponad harmider bazaru, przyciągając uwagę mężczyzn ubranych na szaro i biało, z których chyba każdy miał przy sobie broń innej marki i wyprodukowaną w różnych latach. Zgiełk szybko przybrał na sile, przechodząc w crescendo, i ze wszystkich stron zbiegli się Afgańczycy, żeby otoczyć intruzów. Wrzeszczeli po pasztuńsku, wskazując długimi palcami z brudnymi paznokciami trzech mężczyzn zamkniętych w coraz gęstszym kręgu ciał.

– Jak ci się podoba przedstawienie, Miller? – zapytał

sierżant, prawie nie poruszając wargami.

– Na razie dokładnie tak, jak pan mówił, sierżancie – odrzekł Miller bez żadnego drżenia głosu. – Pod warunkiem że sprowadzą pana Waźniaka. – Zwilżył wargi językiem.

Otaczało ich już co najmniej stu pięćdziesięciu talibów, ciasnym pierścieniem złożonym z dziesięciu rzędów. Wielu z nich celowało do nich z broni – karabinów maszynowych PK, przedpotopowych lee-enfieldów oraz rozmaitych pistoletów. Przepychali się, żeby lepiej widzieć trzech mężczyzn, którzy tak bezczelnie wkroczyli w sam środek ich miasta.

– Nie opuszczajcie rąk – zwrócił się do swoich ludzi sierżant – i szukajcie w tłumie Al-Baszira. Jeżeli nasz wywiad się nie mylił, nikt tu nie odważy się na żaden krok, dopóki on się nie zjawi.

Najbliżsi ludzie w falującym kręgu tłoczyli się nie dalej niż półtora metra od nich.

Miller pierwszy dostrzegł Al-Baszira, którego zdradzały charakterystyczna płomiennoruda broda i kartoflowaty nos.

– Jest, sierżancie – powiedział, kiedy tłum się rozstał, aby zrobić miejsce swojemu przywódcy, jednemu z najważniejszych i najbardziej wpływowych bojowników w tym regionie.

Al-Baszir zamasyżycie przeszedł przez szeregi. Sierżant uśmiechnął się, skinął głową i trzech marines błyskawicznie ustawili się w trójkąt, zwrócenii twarzami na zewnątrz, stykając się ramionami. Nagły ruch sprawił, że niektórzy z otaczających ich ludzi, zaskoczeni, cofnęli się o krok.

Ale nie Al-Baszir.

– Gotowi na wszystko – rzekł sierżant.

– Gotowi na wszystko – powtórzyli Miller i Gibson.  
Jednym ruchem zrzucili ubranie.

Tłum znów zaczął wrzeszczeć.

Każdy z intruzów miał przymocowane taśmami do piersi kostki materiałów wybuchowych – trzy z prawej strony i trzy z lewej – a przewody były podłączone do baterii zawieszanej na pasie.

– Gotowi na wszystko – powiedział znowu sierżant.

Przy wciśnięciu przycisku rozległo się ciche kliknięcie i w ułamku sekundy wszyscy zbici w krąg wokół trzech żołnierzy wyparowali w gorącej białej kuli starannie skupionego światła.

# ROZDZIAŁ 1

Doktor Louis Francis Welcome potrafił robić dobrze wiele rzeczy, nie należało do nich jednak obijanie się. Na jego biurku w waszyngtońskim Ośrodku Opieki dla Lekarzy, stojącym w jednym z czterech boksów w pomieszczeniu o powierzchni osiemdziesięciu metrów kwadratowych, nigdy nie panował taki porządek. Zwykle po południu lampka w jego telefonie Nortel sygnalizująca wiadomości pozostawione na poczcie głosowej mrugała na czerwono – zapowiadając, że jeden lub więcej jego klientów potrzebuje porady i wsparcia w związku ze swoim wychodzeniem z choroby psychicznej, zaburzeń w zachowaniu albo problemów z uzależnieniem od narkotyków czy alkoholu. W tej chwili lampka była ciemna, tak jak przez kilka ostatnich dni.

Lou dostawał pensję za prowadzenie spraw i nadzorowanie postępów przydzielonych mu lekarzy, za wskazanie im drogi powrotu do zdrowia i pomoc w ostatecznym przywróceniu im prawa do wykonywania zawodu, którego musieli się rzec. Okres świąteczny zwykle przynosił napływ nowych



kandydatów, których do OOL często kierowała stołeczna rada lekarska.

Ale ostatnio już nie.

Przypuszczał, że brak klientów nie oznacza wcale zmniejszenia popytu na usługi OOL. Wprost przeciwnie, podobnie jak w całym społeczeństwie ostatnie sześć tygodni roku ujawniały, jak wielu lekarzy ma kłopoty z rozmaitych powodów. Dlaczego więc, u diabła, zastanawiał się – w rozrtargnieniu budując łańcuch z zawartości inkrustowanej masą perłową skrzyneczki na spinacze – nie dostaje żadnych nowych spraw?

Wiedział, że jest tylko jedno logiczne wytłumaczenie – doktor Walter Filstrup, dyrektor programu.

Rytmicznie ściskając w rękę piłeczkę relaksacyjną z napisem PFIZER PHARMACEUTICALS, Lou wolnym krokiem wyszedł do recepcji, gdzie siedząca za biurkiem Babs Peterbee wydawała się bardzo zajęta.

– Doktorze Welcome – powiedziała, zwracając ku niemu okrągłą twarz emanującą mieszaniną troskliwości i niepokoju.  
– Nie widziałam, jak pan wchodził.

– Doktor Ninja – odparł Lou, przybierając pozę nieuchwytnego wojownika. – Były jakieś telefony?

– Dzwonił jakiś człowiek i chciał z panem porozmawiać o szefie swojego oddziału, który za dużo pije. Odesłałam go do poczty głosowej doktora Filstrupa.

– Zanotowałam jego nazwisko?

Peterbee przywołała na twarz wymuszony uśmiech.

– To nie należy do moich obowiązków.

Był to jej ulubiony zwrot. Lou wypowiedział te słowa równocześnie z nią. Kobieta z pewnością wiedziała, jak bez

szwanku przeżyć dzień w pracy. „To nie należy do moich obowiązków”.

– Walter jest u siebie? – spytał Lou. – Odkąd przyszedłem, drzwi są zamknięte.

– Ma właśnie telekonferencję – odrzekła Peterbee, przechylając głowę w prawo, w kierunku jedynych drzwi w biurze, nie licząc drzwi naprzeciwko niej, prowadzących do niewielkiej sali konferencyjnej. Były to również jedyne drzwi opatrzone tabliczką z brązu, na której wytłoczono wytwornymi literami nazwisko i tytuł Filstrup.

– Prawdziwą konferencję czy konferencję Filstrup?

Peterbee znów uśmiechnęła się sztucznie.

– Co słyhać u pańskiej córki? – zapytała.

– Emily ma się znakomicie, dziękuję – odparł Lou, przenosząc ciężar ciała o wzroście stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów z nogi na nogę i przekładając piłeczkę do lewej ręki. – Niedługo kończy czternaście lat i bardzo chce być dorosła, a w umiejętności unikania tematów, na które nie ma ochoty rozmawiać, bije na głowę nawet naszego szanownego szefa. Pytam jeszcze raz, czy Walter naprawdę jest zajęty?

Tym razem Peterbee zerknęła na swój szereg telefonów i pokręciła głową, jak gdyby przestała łamać obietnicę złożoną Filstrupowi.

– Zdaje się, że już odłożył słuchawkę.

– Kiedy będziemy przyznawać nagrody dla najlepszego pracownika roku, nominuję ciebie. Co za niewzruszona lojalność.

– Chyba wzruszające ubóstwo.

– To też. Jak oceniasz ogólny nastrój?

– Powiedziałyby, że mieści się w dwójce.

Nieliczny personel OOL mierzył nieprzewidywalne zachowanie swojego dyrektora za pomocą skali Saffira-Simpsona stosowanej przez meteorologów do klasyfikacji intensywności huraganów.

– Dwójka nie jest taka zła – rzucił Lou, raczej do siebie.  
– Wieje, ale nie zagraża życiu.

– To się zmieni, jeżeli pan tam wtargnie, doktorze Welcome – przestrzegła go Peterbee.

Lou posłał jej całusa.

– Bez obaw – odparł. – Pod koszulą mam kamizelkę z kevlaru.

Zapukał do drzwi Filstrupa i od razu je otworzył. Gabinet dyrektora, pełen starannie ustawionych podręczników medycznych i roczników czasopism psychiatrycznych, był jeszcze mniej zabałaganiony niż boks Lou – nie w związku ze skromną liczbą wpisów w kalendarzu, lecz z powodu jego przemożnej potrzeby porządku.

Szczupły i wysportowany Filstrup, ubrany jak zwykle w granatowy garnitur, białą koszulę bez żadnego zagniecenia i krawat w jednolitym kolorze – dziś w odcieniu szarości – zerwał się na nogi, a jego twarz z każdą nanosekundą coraz bardziej czerwieniała.

– Natychmiast wyjdź, Welcome, a potem zapukaj i zaczekaj.

– I wtedy zaprosisz mnie do środka?

– Nie, powiem ci, że czekam na ważny telefon i możesz przyjść za godzinę.

Lou odsunął krzesło Aeron stojące naprzeciwko Filstrupa i usiadł. Na biurku po prawej od niego leżał stos równiutko ułożonych dokumentów do przejrzenia, a obok plik kart

klientów. Nikt nie mógłby zarzucić dyrektorowi, że nie ma baczności na wszystko, co dzieje się w firmie.

– Nie widziałem cię prawie przez cały tydzień, szefie, więc pomyślałem, że wpadnę i dowiem się, jak leci.

– Złośliwość nigdy nie należała do twoich najsympatyczniejszych cech, Welcome, chociaż muszę przyznać, że i nie do najgorszych.

– Kto nadzoruje te wszystkie sprawy? – zapytał Lou, wskazując na pliki dokumentów. – Na pewno nie ja.

Filstrup spuścił głowę, zaszczycając widokiem swojej łysiny, po czym teatralnym gestem złożył podpis na formularzu, który, jak sądził Lou, mógł być równie ważny jak ankieta z urzędu statystycznego.

– Zarząd ciągle przedłuża ci umowę, ale nie mówi mi, do czego mam cię wykorzystać – odrzekł Filstrup.

– Może dać mi coś do roboty? – spytał Lou, nie całkiem, lecz prawie błagalnym tonem. – Nie umiem sobie znaleźć miejsca.

– Przecież masz swoje sprawy i swoich podopiecznych – zauważył Filstrup.

– Mam tylko paru lekarzy, którzy nadspodziewanie szybko wychodzą na prostą – rzekł Lou. – Jestem tu po to, żeby pomagać. Lubię tę pracę i nigdy nie czekałem tak długo na nową sprawę. Co jest grane, Walter?

– To jest grane, że zatrudniłszy kogoś w pełnym wymiarze i muszę go wdrożyć w to, co robimy, i nauczyć go, jak to robić. Sam wiesz, że najlepiej wpoić coś komuś, wyciskając z niego siódme poty w terenie, żeby ledwie dyszał.

– Żeby ledwie dyszał – powtórzył Lou. – Podoba mi się taka wizja. Barwna. Wręcz astmatyczna.

– Dowcipniś – mruknął Filstrup.

– Czyli zostałem ukarany, bo nie pracuję w pełnym wymiarze godzin, mimo że sam wyciskałem z siebie siódme poty i ledwie dyszałem?

Lou pracował w OOL od pięciu lat. Pięć lat wcześniej sam był klientem biura, które objęło go nadzorem z powodu uzależnienia od amfetaminy i alkoholu. To pierwsze miało mu pomóc znieść morderczą pracę w wielu miejscach, a drugie – zwolnić obroty. Lou wierzył, że fakt, iż udało mu się zwalczyć własny nałóg, pomaga lekarzom będącym pod jego opieką. Filstrup, zatrudniony przez radę nadzorczą dużo później niż Lou, chyba nie podzielałby jego zdania.

– Zupełnie nie o to chodzi – powiedział dyrektor. – Pracujesz na prawie całym etacie na oddziale ratunkowym w Eisenhower Memorial, a tutaj dwadzieścia godzin tygodniowo.

– Znasz słowo „alimenty”? Słuchaj, Walter, lubię jedną i drugą pracę i potrzebuję tych pieniędzy, dlatego poświęcam na to trochę więcej czasu. Były jakieś skargi?

– Odkąd przeniosłeś się z dobudowanego skrzydła szpitala na duży oddział ratunkowy, zauważyłem, że jesteś zestresowany.

– Tylko z powodu zmniejszenia liczby klientów. Powinno być dość pracy zarówno dla Olivera, jak i dla mnie.

– Mówiłem już – rzekł Filstrup. – Olivera trzeba wdrożyć.

– To chyba nie ma nic wspólnego z tym, że tak jak ty jest psychiatrą? A może ma?

– Oczywiście, że nie – odparł Filstrup, odrzucając jego sugestię lekceważącym ruchem ręki.

Lou wiedział jednak swoje. Od początku nie zgadzali się

z Filstrupem co do tego, czy uzależnienie jest chorobą, czy problemem natury moralnej.

– Czy Oliver uważa, że każdy nadzorowany przez nas klient powinien przejść pogłębioną psychoterapię?

– Nie zawsze musi być pogłębiona – odrzekł Filstrup.

*Nie pij, chodź na spotkania i zwróć się o pomoc do siły wyższej.*

Lou wiedział, że ta zwięzła, trzypunktowa, instrukcja obsługi w zupełności wystarcza większości uzależnionych od narkotyków i alkoholu uczestniczących we wspólnotach AA. Psychoterapia przydawała się niektórym, ale długotrwała, pogłębiona terapia była często przesadą.

Czuł, że rozmowa wymyka się spod kontroli, i milczał, powtarzając sobie to samo, co od czasu do czasu przychodziło mu do głowy przy prawie każdym jego podopiecznym – wszystko jedno, czy kamień uderza w wazon, czy wazon uderza w kamień, i tak źle się to kończy dla wazonu.

Filstrup zdjął okulary i przetarł szkła ściereczką z szuflady biurka. Lou pomyślał, że równie dobrze mógł się posłużyć swoim szarym krawatem.

– Fakt, że sam byłeś kiedyś uzależniony od narkotyków – ciągnął Filstrup – wcale nie oznacza, że masz tu większy autorytet niż inni.

– Nie mogę uwierzyć, że zaczęliśmy ten temat tylko dlatego, że przyszedłem poprosić o więcej pracy.

Zanim Filstrup zdążył zaripostować, zadzwonił telefon. Dyrektor posłał Lou wściekle spojrzenie i wcisnął guzik interkomu.

– Chyba mówiłem pani, żeby nikogo nie łączyć – rzucił. Podobno czekasz na telefon, pomyślał Lou.

– Przepraszam, doktorze Filstrup – powiedziała sekretarka.  
– Właściwie to do doktora Welcome’a. Rozmówca czeka na linii.

Zaskoczony Lou zerknął na Filstrupa.

– Kto to jest? – zapytał.  
– Nasz klient, doktor Gary McHugh – odparła Peterbee.  
– Twierdzi, że to pilne.

Filstrup odruchowo się wyprostował.

– McHugh, lekarz elity? – spytał. – Proszę go połączyć.  
– Zaczekał, aż sekretarka przełączy rozmowę, po czym powiedział radosnym głosem: – Gary, tu Walter Filstrup. Co słyszeć?

Na dźwięk przymilnego tonu głosu dyrektora żołądek podszedł Lou do gardła, ale mógł się spodziewać takiej reakcji, zważywszy na to, kto był po drugiej stronie. Pacjenci Gary’ego McHugh zaliczali się do najbogatszej stołecznej socjety i prawdopodobnie należała do nich znacząca część przedstawicieli władz federalnych. Był znany z przenikliwości, lojalności i dyskrecji, a także z tego, że nie odmawiał wizyt domowych. Nie wiadano natomiast, przynajmniej wewnątrz waszyngtońskiego Ośrodka Opieki dla Lekarzy, że jest jednym z najbliższych przyjaciół Lou Welcome’a od czasów studiów w Georgetown.

Kilka lat wcześniej McHugh stracił prawo jazdy, ponieważ został przyłapany za kółkiem po alkoholu i odmówił poddania się badaniu trzeźwości. Rada lekarska automatycznie kierowała lekarza, który popełnił takie wykroczenie, do OOL, a że akurat nie było nikogo innego, jego sprawę przydzielono Lou.

Mimo że McHugh przestrzegał co do joty umowy o

nadzorze, nie traktował całej sprawy serio. Lou nie mógł nie podziwiać jego charakteru, inteligencji i polotu, choć nigdy nie bardzo wierzył w jego trwałe wyjście z uzależnienia – McHugh miał zbyt wysokie mniemanie o swoich możliwościach i za rzadko uczestniczył w spotkaniach AA. Sportsmen i pilot, posiadający własną cessnę z kabiną ciśnieniową, zawsze był niepoprawnym optymistą i Lou niecierpliwie czekał na ich obowiązkowe comiesięczne spotkanie, a także na każdą okazję, by się z nim zobaczyć.

– Mówię przez głośnik? – warknął McHugh.

– Właśnie skończyłem rozmowę z doktorem Welcome'em – odparł Filstrup, jak gdyby od wielu tygodniu miał to spotkanie zapisane w kalendarzu.

– Doktorze, muszę z nim porozmawiać.

– Jestem – odezwał się Lou.

– Doktorze Welcome, proszę wyłączyć tryb głośnomówiący.

Lou powstrzymał uśmiech, widząc zmieszanie Filstrupa, i z miną mówiącą: „Cóż mogę na to poradzić?” podniósł słuchawkę.

– Cześć, Gary – powiedział, przyciskając ją do ucha, by jak najlepiej odizolować dyrektora od treści ich rozmowy. – Co jest?

– Welcome, dzięki Bogu, że jesteś. Mam kłopoty, naprawdę bardzo poważne kłopoty. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć.

– Powiedz, o co chodzi.

– Nie mogę. Nie tutaj, gdzie teraz jestem.

– W takim razie gdzie?

– U mnie. Znasz adres?



– Oczywiście – powiedział Lou.

– Kiedy możesz być?

Filstrup siedział nieruchomo i milczał. Lou starał się, aby jego głos nie zdradzał niepokoju, i jeszcze mocniej przycisnął słuchawkę do ucha. Zerknął na zegarek z Myszką Miki, prezent na Dzień Ojca od Emily. Dochodziła czwarta – na nocny dyżur na oddziale ratunkowym miał się stawić za osiem godzin. McHugh mieszkał w eleganckiej dzielnicy w połowie drogi między Kapitołem a Annapolis.

– Mogę być za jakieś czterdzieści pięć minut – rzucił.

– Za pół godziny – ponaglił go gorączkowo McHugh. – Wcześniej może się zjawić policja, żeby mnie aresztować.

– Za co?

– Za morderstwo. – Bez pożegnania odłożył słuchawkę.